Planując wyprawę na Alaskę rozważaliśmy działalność w dwóch masywach, w rejonie Kichatna oraz Moose's Tooth. Oba sprawiały możliwość wspinania typu „big wall", przeczucie podpowiadało nam aby skierować nasze plany na ten drugi.
Już na wstępie Alaska pokazała swoje mroźne oblicze. Następnego dnia, po przylocie nastawiamy budzik na 7 rano. Po kilkunastu minutach spędzonych na ubieraniu się, wychodzimy na zewnątrz...gdzie już po minucie lądujemy z powrotem w śpiworach z powodu silnych porywów wiatru oraz niskiej temperatury. Od samego początku miejsce te, pokazuje nam swój mroźny „pazur". Przesuwamy czas wyjścia, czekamy aż słońce zacznie oświetlać namiot i lodowiec oraz, kiedy wiatr zacznie się wyciszać, wraz ze spadkiem różnicy ciśnień. Taką strategię staramy się utrzymać do końca wyjazdu.
Linię staramy się wyszukać podążając od dołu szukając wiodących formacji, które mieliśmy nadzieję, że zabiorą nas na sam koniec planowanej przez nas drogi.
Aby dojść pod właściwą linię drogi, na początku do pokonania mieliśmy śnieżny stok. Z powodu niekorzystnego nachylenia decydujemy się go przechodzić „od skały do skały". Ostatecznie decydujemy się przenieść naszą pierwszą „kapsułę" poza jego obszar, gdzie może on „wyjechać". Zyskujemy dzięki temu czas, ponieważ mamy krótsze podejście pod właściwą drogę oraz spokój mentalny.
Od tego miejsca możemy już spokojnie skupić się na wspinaniu i łączeniu formacji w całość. Tak, jak łączenie kropek, gdzie ostatnia pokaże „kształt" drogi.
Asekuracja na poszczególnych wyciągach jest dosyć wymagająca, biorąc pod uwagę jakość skały (czym wyżej, tym bardziej zwietrzała) oraz nagromadzenie tzw. „głuchych flejków". Przy prowadzeniu, poza uważnym osadzaniem przelotów trzeba było uważać aby nie zrzucić partnerowi przysłowiowego „gruzu" na kask. Kolejność osadzanych przelotów jest typowa dla tego typu formacji, a mianowicie w pierwszej kolejności idą pod młotek najdrobniejsze haki, po nich w kolejce są średnie… przygodę kończymy na „dobrych" camach.
Poza całym tym spektrum technicznym w ścianie, łączą się z nami wyzwania logistyczne: m.in. poręczowanie następnych wyciągów, wynoszenie każdego dnia części sprzętu: począwszy od szpeju, na prowiancie kończąc. Nie wspominając o walce z „objęciami" chłodu… przypomina o sobie, kiedy tylko na chwilę zwolnimy.
Po pokonaniu skalnego „headwallu", zjeżdżamy do naszego portala z nadziejami , że już tylko maksymalnie 2-3 wyciągi i mamy nasz upragniony koniec drogi, żyjemy nadzieją, że zostaje nam już tylko droga w dół. Góry, jakże lubią weryfikować nasze plany, tak stało się tym razem. Wpinanie na szczyt turni zajęło nam nie 3 planowane wyciągi tego dnia a 6.
Docierając na szczyt, krzyczę do Yetiego z ulgą: „Wyżej już się nie da". Celebrujemy „moment chwili" na szczycie... cieszymy się każdą chwilą, która nas tu doprowadziła. Teraz możemy zacząć „odwrót" bez wyrzutów sumienia do naszego schronienia a dalej do naszej bazy...naszych domów...naszych rodzin.